

Gołębiowski, Stefan

Wspomnienia odmilkłe

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 17, 7-40

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stefan Gołębiowski

Wspomnienia odmilkłe

ZADOMOWIENIE

DOM

Jeden z najkrótszych wyrazów. Klasyczny, słowiański. Domus i dom z pnia wyrosły. Trójsylabowiec literowy. Skupia w sobie układ zamknięty familiantów z formantami przyrostków i przedrostków, pojedynczych i złożonych. Z odwołaniem się do słowotwórstwa i do słownika mowy ojczystej i języków obcych. Dom od domus pod boskim zawołaniem: Dominus vobiscum.

D.O.M. z trzema kropkami Trzech Króli, skrót: Deo Optimo Maximo. To w kościelnej liturgii, a w domowej i zarazem rodzinnej: Dębowy Ojca Matki. Dziewiętnastowieczny z tradycjami osiemnastowiecznymi Andrzeja Zamoyskiego.

Ten dom, jak sięgam pamięcią, był zawsze stary. Starość być może przejął po najstarszych dębach gołuskich z Wyspy Juranda i po dębowych lasach, o których wymownie świadczą nazwy wsi: Dębsk, Dąbrowa – dalsze i bliższe Dąbrówki aż po najbliższy pałacowy Dębowiec. Zapewne z tego ostatniego pochodzą dęby, co weszły budulcem do naszego domu. Należały do pałacu i dom też był jego własnością.

Od dworu, nie wiem, w jakiej kolejności, nabył uprawnienia majątkowe Józef Bloch, ostatni burmistrz miasta Bieżunia, a po jego śmierci w r. 1892 dom i całą posesję zagrody z ogrodem, jako spadkową, wdowa wraz z córką sprzedała moim rodzicom za cenę posagu, który otrzymali od swoich rodziców. W ten sposób dom obumarł i na nowo się narodził.

Gdyby moi rodzice zachowali go w takiej postaci, jak w chwili wejścia w posiadanie, byłby najciekawszym zabytkiem Bieżunia. Niestety, dom wymagał konserwacji, a ich było jedynie stać na renowację ciesielską spod siekiery.

Ściany wiązane na zrąb, bez sumików łącznikowych, w balach zbijane drewnianymi gwoździami, własnym ciężarem i dachu, krytego dachówką, wrzynały się w podmokłe podłoże i gdyby nie dębowa przycieś i podmurówka z cegły, dom by uległ uziemieniu, szczególnie w oknach wraz z dawnymi okiennicami.

To niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Za to gorzej na renowacji wyszedł dach, bo stracił gotycką spadzistość przy obniżaniu koźliny i zamianie dachówek z klepkami na dachówki z pupami. Nie lepiej wyszły na niej ściany, które utraciły okiennice z sercami, żeby zyskać sosnowy szalunek. To na zewnątrz, a we wnętrzu zaniżenie. Zginęły belki w sufitach trzciną tynkowanych, biel ścian pod tapetą znikła bez kobierców. Podobne zmiany zaszły w umeblowaniu. Dawna prostota sprzętów ustąpiła secesyjnie wyszukany i mieszczańskiej tandecie wiedeńskich krzesel zamiast zydlów.

Oczywiście, nie pamiętam, jak w tym domu narastało życie, gdyż od razu wyskakuje z mej głowy jako zaludniony ciągłą krzątanią. Broń Boże, nie z oficjalnego frontu, lecz z tyłu z zapleczem ogrodu, przechodzącego w sad, oazy zieleni w środku dawnego Bieżunia.

Między domem a ogrodem przejście przez furtkę do podwórza w kształcie prostokątnej podkowy. Od ulicy dębowy z piętrem spichrz, za nim klepisko stodoły z sąsiekami i stajnia z oborą, a od ogrodu kurnik, chlewy i wozarka na bryczkę. Wreszcie ramię trzecie poprzeczne: gnojownik ze śmietnikiem, szereg szop na opał, trempel na siano i niewidoczne ubikacje.

Dom powyższy od tyłu miał określone funkcje wejściowe i wyjściowe przez kuchnię, która prowadziła nieustanną kontrolę ruchu gospodarczego. Do pracy i od pracy, Nieustanne dreptanie jak w kieracie.

Co innego drzwi frontowe od ul. Zamkowej reprezentacyjne, zazwyczaj zamknięte, przez przedpokój wiodły do saloniku z pluszowymi, najczęściej w pokrowcach, meblami. Na froterowanej posadzce dywan kwiecisty. Pośrodku stół większy, fikuśnie rzeźbiony, z wysoką stojącą lampą, stół mniejszy pod ścianą, czarny i zielony, rozkładany do kart, z dwoma lichtarzami. W środku patera. Nad nią w złożonych ramach obraz olejny. Barokowy wazon róż z małym mieszczańskim kufereczkiem róż niedomkniętych. Prezent z galerii łódzkiej mego wuja Grodka.

Między firankami okien nie tremo, lecz wielkie lustro pogłębiające własną salonową perspektywę. Nad trzema drzwiami zgniłozielone portiery zharmonizowane z pluszowymi meblami.

Salonik, z racji swego przywileju, przeznaczony głównie dla gości, wymagał wizytowego stroju: ciemnych sukien powłóczyстых u pań, a u panów surdutów, tużurków lub żakietów. Przy czym obowiązywał styl dworowo małomiejski. Nie bez przesady w grubych rybach respektowany.

Nawet słońce dla saloniku miało respekt bezapelacyjny. W innych pokojach bezceremonialnie panowało, a do saloniku zaglądało rzadko i dyskretnie. Jedynie w dni pogodne o wschodzie słońca, kiedy nikt tego nie widział, chociaż w przyległej sypialni słońce oczy natarczywie rozklejało.

Poza wschodem w innych porach dnia, a więc i podczas wizyt, słońce w oknach się nie zjawiało. Jakby miejscowym wielkościom nie miało odwagi spojrzeć prosto w oczy. A może tylko głowę odwracało w inną stronę.

Wizytom towarzyszyły lampa i świece. Te ostatnie przez swoje boczne światło deformowały cienie na ścianach, w których goście w moich oczach rośli bez umiarkowania. Patrzyłem na nich z podziwem przez uchylone drzwi mego zapóźnionego dzieciństwa.

W czasach późniejszych, gimnazjalnych, podczas ferii letnich korzystałem z saloniku, żeby użyć jego chłodu i ciszy, w upale dnia. A wieczorem zagłębiałem się w fotelu i czekałem na księżyc malowany w szkle.

Z biegiem lat plusz mebli zaczęły lizsaje pustoszyć, dywan stracił żywsze barwy, a stół gipiurą przykryty zaczął świecić dziurami oczu. Lampa stojąca na nim straciła blask i stała się jedynie rekwizytem.

Salonik ostatecznie przeszedł na zasłużoną emeryturę. Jeszcze w moich oczach żyje świetnościami dawnych przodków świetny – nie bez Juliuszowej ironii – ale już w oczach bardziej nowoczesnych jest jedynie reliktem anachronicznym, bardziej muzealnym niż mieszkaniowym.

Przeciwieństwem saloniku był pokój stołowy. Bez skrupowania panowało w nim słońce. Żółte zasłonki, odcień kremowy firanek, żółte w deseniach tapety, jasnodębowy kredens i masywny stół stylowy i przy nim bezstylowe wiedeńskie żółte krzesła razem z posadzką orzechową wyjątkowo harmonizowały i tworzyły jednolitą słoneczną całość, w której otomana kwitła barwami.

Zegar w ściennej szafce – nad etażerką z książkami brata i z jego nagrodami, wśród których panował Mickiewicz (niestety, cenzuralny) –

odmierzał wahadłem bez wahania swoje tik-tak głośniejsz niż przeciętnie inne zegary. Jakby w ten sposób natarczywie każdemu przypominał, że z nim się trzeba liczyć. Innej rady nie ma.

Stołowy wiódł do sypialni wąskiej i długiej. W jej głębi po dwu stronach dwa łóżka staroświeckie, jesionowe, skrzypiące. Jedno ojca i matki, drugie dla dwóch synów. Trzeci, najstarszy, sypiał w stołowym na otomanie, kiedy byliśmy razem. Najczęściej był jeden, najmłodszy po mnie.

Z mebli sypialnego ocalała jedynie szafa dębowa z drzwiami rzeźbionymi. Szafa pakowna, przede wszystkim na ubrania. Do bielizny pościelowej i osobistej służyła komoda o dogłębnym zamczystym szufladach.

Wszystkie pokoje kontaktowały ze sobą drzwiami, które ostatecznie wiodły do kuchni: letniej i zimowej, sionką przedzielonych. Kuchnie z kapami: letnia z piekarnikiem, a zimowa z zachowankiem w zapleczu, świadczącym o gospodarności matki.

Czegóż w nim nie było: w okienku gąsiorki z nalewką na wiśniach, półki uginały się od konfitur rozmaitych, jakich dusza zapragnie, soków w butelkach, przy nich słoje borówek z jabłkami, garnki marmolady ze śliwek, śliwki suszone, różnego rodzaju marynaty, pikle, korniszony. W dwóch kątach antałki ogórków i beczka kapusty. Wymieniam na chybił trafił.

Zapasy nie dla jednego domu. Z myślą o trzech innych, które razem dopiero tworzyły jedną wielką rodzinę. Głównie ze strony matki. Rodzina ojca, o mniejszych aspiracjach, była na dalszym planie. Dopiero z biegiem czasu różnice zaczęły się stopniowo wyrównywać.

Na co dzień bezpośredniemu obcowaniu przeszkadzała odległość mniej więcej we wiorstach dwumilowa, ale od wielkiego dzwonu istniały za to coroczne rodzinne zjazdy na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. To były święta nadzwyczajne. Święta nad świętami. Podobnie rozgałęzionej rodziny tak gościnnej przypuszczam nawet ten jeden z najstarszych domów miejscowych nie pamiętał. Do tego trzeba było uprzejmości lokatorów z drugiej połowy domu, żeby najazdowi, który trwał (...)*

(...) siana spod obrusa. Kto będzie żył najdłużej? Innych wróżb nie pamiętam. Widocznie ani za krótko, ani za długo. O mnie i braciach już nie piszę. Księdzem nie zostałem, żyję jak najdłużej. Na dwoje babka wróżyła.

*) w maszynopisie Stefana Gołębiowskiego znajdującym się w zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu nie zachowała się str. 13.

Późna godzina. Oczy się kleją. Sprzątanie powigilijne. Dzieci idą spać, ja z nimi, a starsi idą na pasterkę. Was wszystkich już nie ma, z wyjątkiem Jadzi, a ja wciąż jeszcze przedłużam swój zachód.

Po wigilii same święta w natłoku gości jakby się gubiły. Ciasnota, wrzawa dzieci, wybryki młodości nie sprzyjały poufnemu obcowaniu, za to sprzyjały grom i zabawom tym młodym, co grali w fanty, które śpiewem lub deklamacją wierszy odzyskiwali, i tym starszym, co grali w karty. W preferansa, stukułkę, w sześćdziesiąt sześć lub durnia.

Najwięcej było uciechy, kiedy durniem zostawał wuj Antoś, który lubił bawić się z dziećmi, chociaż jako nauczyciel często się dobierał do ich skóry. Umykał w popłochu przed krzykiem “durak, durak”.

Najgłośniej ja krzyczałem za “osła nad osłami”. Ku zgorszeniu babki i ciotek, nie mówiąc o matce, która była zła nie tylko na mnie, ale i na siebie.

Napastowany wuj Antoś umykał do sypialni po drugiej stronie lokatorskiej i zatrzasnął drzwi. Za nimi: ja z młodszym bratem, trzech Leszczyniaków, dwie córki cioci Stasi i jeden cioci Zosi, bo drugi był dopiero w powijakach. Wuj Władek, duma i ostoja rodziny całej, był jeszcze kawalerem.

Okupacja drzwi skończyła się jednak nie przez zdobycie broniącej się reduty, lecz przez kapitulację. Klucz zazgrzytał i drzwi nagle stanęły otworem. Wuj Antoś, chyba z powodu swego wybujałego wzrostu nazywany Antkiem, pojawił się okryty prześcieradłem, spiętym agrafką na piersi, jako biała mara. Czyżby śmierć w poszukiwaniu Heroda za rzeź niewiniątek? Przecież jutro drugi dzień świąt o nich mówi. Jak nie mara i jak nie śmierć, to, do diaska, z kim mamy do czynienia. W każdym razie nie z durniem.

Ciekawość intryguje zagadką, a tu tymczasem odpowiedź rusza z miejsca i staje na progu saloniku. W drzwiach się kiwa i po żydowsku intonuje w szwargocie: Sim-sime-ra, szabes – mefamed i kantor zarazem.

W otoczeniu chederowych uczniów, małych szajgeców, zbliżył się do wielkiego lustra i rozpoczął modlitewne nabożeństwo skomponowane z nazw pierwszych liter alfabetu żargonowego. Była niedziela, więc gdzie szabas i szabasowe religijne chóru występki. Nie szkodzi, przecież Brodeś pomniejszony w nazwisku też żydowskiej brody nie nosi.

Nabożeństwo zaczynało się od kiwania przy aj-waj, nie palcem w bucie, tylko głową nabożnie przy wtórze chóru: a-roj, a-roj, roj-roj

w tonacji majorowej z podrzucaniem ramion, jakbyśmy z uczniem grzechy żydowskie z siebie wytrząsali, po czym w tanecznych podskokach ty-dum, ty-dum, ty-dum – i zamiast amen trzykrotne sioj, sioj, sioj!

Trzy razy to nabożeństwo powtórzyliśmy i zaczęliśmy czwarty, kiedy wuj Władek rzucił karty na stół, jakby miał ich dosyć ze słowami:

— Antek, nie wygłupiaj się. Śmiejesz się z żydowskiego żargonu w intonacjach chóru jęwejskiego, z którego wywodzą się nasze psalmy, jako nadziratiel chederu, to może byś dla odmiany zaintonował jako nauczyciel narodnowo uczyliszcza “Boże, caria chrani”.

Żeby język polski odzyskał jakie takie w szkole prawa, trzeba było roku 1905. Wuj Władek na znak protestu rzucił uniwerski i wrócił na wieś, a mój starszy brat poszedł do polskiej szkoły średniej w Płocku. Do niego to, kiedy wielki Antek ucichł, wielki, jako autorytet, Władek głos swój skierował z ostatniego naszego bastionu:

— Nam mówić po polsku zakazano... Proszę cię, chłopcze, w imieniu swojej szkoły i nas wszystkich przywołaj z pamięci “Nam strzelać nie kazano...”

I brat mój starszy na Reducie Ordon stanął i kiedy w ładownicy zabrakło ostatniego naboju, na odsiecz ruszył śpiew ciotki Stasi “Bracia, rocznica, więc po zwyczaj...”. Za moją chrzestną matką w ślad poszedł mój chrzestny ojciec, który za-górował pięknym głosem “Za Niemen, za Niemen, hen precz...”. Co dalej śpiewano, nie pamiętam, bo wybiegłem do kuchni, do kołędników z betlejemską gwiazdą.

Wspomnienia wirują w moich oczach. Zwłaszcza po saloniku. Nie mogę w nim pominąć pluszowej kanapki, na której siedziały nasze cztery matki Polki. Z moją matką trzy jej siostry. Królowała Maria Leszczyńska. Piękniejsza od prawdziwej królowej na tronie francuskim. Królowa jednego z balów karnawałowych, która potem, po latach pierwszej wojny światowej, odeszła od zmysłów. W stanie pożałowania godnym, bez śladu piękności.

O czym wówczas rozmawiały? Jak kobiety, o sprawach kobiecych. Dom, mąż, dzieci. O życiu towarzyskim prowincjonalnym, gdzie wszystko jest na pół. O życiu na pół ziemiańskim, brudnickim, o życiu na pół szlacheckim Pana Sędziego gujskiego, o życiu na pół inteligencko-nauczycielskim ciotki Stasi, Zosi i z awansu ni to szlacheckiego, ni to chłopskiego w domu naszym.

Gniazdem rodzinnym dla tych wszystkich rozgałęzień, jej ogniskiem macierzystym była Bądzyn Ruda (Brudnice) Babki i wuja Władka. Tam w pięknej okolicy nad rozlewną Wkrą z dwoma młynami wodnymi w obszernym dworku z gankiem odbywało się na przemian z naszymi co drugie Boże Narodzenie.

Na pograniczu zimy śnieżny opłatek, na pograniczu zimy z wiosną w jajku jajko pisane. Wielkanoc także na przemian: w murowanej piętrowej szkole w rynku przy klasztorze żuromińskim lub u cioci Leszczyńskiej w Babcu Wionczankach, co były uwieńczeniem wszystkich naszych rodzinnych zjazdów.

Murowany dworek z czerwonej cegły, pięknie fugowany. W połowie od tyłu długi salon i w poprzek takież długi stół święcony. Dwa sękacze w otoczeniu bab i placków, które plackiem przy nich się kładły. Prosiak na półmisku z jajkiem w pysku. W wieńcu kiełbas szynki, balerony, polędwice, wielka taca z pieczenią. Indyk wpadł między podgardlanki, kiszki i salcesony. Na paterach torty, w kryształach cukry i bakalie. Oczywiście Guliwera patrzę na ten stół Gargantui olbrzyma, w którego centrum jeden jedyny liliput. Baranek z biało-czerwoną chorągiewką, cukrowy. Wśród mazurków ku pokrzepieniu serc.

W Wielką Sobotę o siwym zmierzchu przyjeżdża siwiutki jak gołąb proboszcz w białej komży, by stół uroczyście pokropić, i po ceremonii odjeżdża z pełną bryczką święcenia swego ku pokrzepieniu ciała.

Nazajutrz rezurekcja. Z Babcią, orędowniczką rodziny naszej na czele, w wolancie zataczamy łuk do Łukomia. Słońce wschodzi promieniste, złote, jakby spod ziemi wydobyte dla procesyjnej monstrancji.

Rezurekcja w modrzewiowym kościółku. Jaskrawość barw rozczepionych w tęczy. Tłok niemożliwy. Płucom brak powietrza. Jak ten dopiero co Zmartwychwstały może oddychać. Wielką ulgą procesja cmentarna. Krzyżem błogosławi lud w prawo i w lewo, od ziemi do nieba. Chrystus zmartwychwstał. Lipy pod parkanem, strażniczki kościoła, już czekają na zieleń jak na zbawienie.

Dzwony na wiejskiej dzwonnicy widać, biją sercami. W kalichlorkowej kanonadzie wybuchów gołębie wyleciały z gołębników. Lecą ponad cmentarzem kościelnym, ponad uskokiem doliny do sosen grzebalnego za rzeczką. Dzwony i petardy porywają śpiewy. Niosą ku niebiosom i jednocześnie wiążą żywych z umarłymi. Alleluja! Alleluja! Łukomski łuk przymierza.

Nasz dom rodzinny z trzema innymi przez współżycie jednoczył się, przez wzajemność wspierał. Dniem powszednim pracował, a od święta wielkiego z naszych mniejszych rodzin tworzył rodzinę wielką.

Matka jako najstarsza córka czuła się matką całej rodziny, a mój ojciec, co już świecił lysiną, twarz miał jak słońce pod zachód ogorzała. Snuł plany na przyszłość. W czasie nieobliczalnym szukał obliczalnego.

Pamiętam, jak w przyplwywie dobrego humoru na pół serio, na pół żartem powiedział, że jak tak dalej pójdzie z przyrostem rodzinnym, to dom nasz dla świątecznych zjazdów przyjdzie pod dachem rozbudować.

Jakby dom miał uszy, w szybach zadzwonił i drzwiami trzasnął. Na znak dezaprobaty. W ten sposób dał świadectwo prawdzie, że należy go przyjąć takim, jakim jest. Przez szacunek dla podeszłego wieku i dla tradycji.

Zresztą poddaszowe pokoje na serio nie mogły być brane. Nie licowały ze starodawnym wyglądem. Bo proszę bardzo, jakby się prezentowały z dwuznaczną facjatą, z którą przyzwoity człowiek oszpecony wstydy się pokazać, jeśli człowiek z domem da się pod pewnym względem porównać.

Z tych horoskopów nazbyt pochopnych nie jednak nie wyszło. Zjadem położyła kres pierwsza wojna światowa i wolność dla nich okazała się odzyskaną. Więc rodzinna, zamiast rozkrzewić się, w rozwoju osłabła. Zwłaszcza po śmierci babki, która syna i córki z zięciami i wnukami chciała widzieć razem przy opłatku wigilijnym i wielkanocnym stole.

Ojciec słowa o rozbudowaniu domu widocznie wymówił w złą godzinę. Rodzina wielka, zamiast rosnąć, malała, bo więcej ubywało, niż przybywało. A co mówić o domu naszym. Synowie, starszy i młodszy, padli kolejno w dwu wojnach światowych. Pierwszego długo nie mógł przeżyć ojciec, drugiego nie mogła też przetrwać matka. W rezultacie wielkanocny pokój najpierw dla ojca, a potem listopadowy dla matki stał się pokojem wiecznym.

Ocalał jedynie ten, na którego najmniej liczone. Odwieczne dęby padały ścięte, a trzcina chwiejąca się na wietrze burze dziejowe przeniosła i mimo, że daleko jej do pascalowskiej, wciąż jeszcze znajduje rację bytu dla swego istnienia w domu moim rodzinnym, który się we mnie zdomowił, chociaż się urodziłem w roku LUDZI BEZDOMNYCH.

DOMOWE KWIATY I DRZEWA

Poza domem cóż może być piękniejszego niż kwiaty i drzewa. Kwiaty z ogródka matki, drzewa z ogrodu ojca. Jedne wiosną kwitnące, drugie jesienią owocujące. Pod wysokim sadem z tamtego świata.

Mieszkały w nim cztery pory roku, którymi żył dom otwarty i zamknięty. Wiosną, latem, złotą jesienią otwierał drzwi i okna, przez które się wychylał i ogrodem oddychał. A potem z kolei późną jesienią okna zamykał, stał we mgle biczowany wiatrem i smagany deszczem. Z tego opłakanego stanu wybawiał go śnieg w bieli, niepokalanie poczętej.

Mróż szklili okna i malował. Z palmami w szyby wlaził jak baran. Bez kozucha baraniego i butów kozłowych do niego nie wychodził. Tak do przedwiośnia, w którym buty możesz stracić w roztopach.

Rok miał więc dwie połowy. Za urodę wiosny, lata aż do babiego lata jesieni pokutował w drugiej połowie w dokuczliwych szarugach, śniegach kopnych brnął do ognistego piekła mrozów. Nagi sad czasami w sady baśniowej ożywał po to, żeby majaczyć we mgle do czasu aż drzewa zaczną zwiastować dodatki nadzwyczajne. Pierwsze ujawnione w baziach palmowej niedzieli.

Sad najpierw zielenił się w trawnikach i dopiero wkraczał do grządek ogrodu warzywnego pod rzodkiewkę, sałatę, pietruszkę, koper, ogórki, pomidory, cebulę, buraki, główki kapusty. Od nich marchew z zielonymi kitami biegła w stronę płotu do słoneczników, grochu i pokrętej fasoli, co się pięła w górę po tyczkach w drodze do płotu zabiegliwego.

Ogród warzywny mimo usilnych starań matki wiódł jednak żywot ograniczony przez ekspansję drzew zagęszczonych w sadzie ze szkółki szczepienia ojca. Przez tę szkółkę i we mnie wszczepił nie tylko miłość do drzew owocowych, lecz i do drzew mazowieckich, rozrzuconych w krajobrazie.

Na pograniczu między ścieżkami ogrodu i sadu znajdowały się porzeczeki białe i czerwone, agrest agresywny, koleczasty i w oddzielnej kwaterze maliny. Agrest wytrzebiła zaraza, maliny zdziczały, po nich truskawki przepadły z kretelem, ale porzeczeki w różnych odmianach rozplenili się na prawach ciągłego rozrostu. Pod płotami i po obu stronach ścieżek bocznych i wzdłuż uliczek tworzyły ich obramowania.

Jedynie połowa środkowej alejki wiodącej do dawnej altany korzystała z rabatowego przywileju. Po obu jej stronach kwitły narcyzy, irysy, georginie, nasturcje i malwy. Pachniała rezeda z groszkiem pomieszana, jak w staroświeckim wiejskim ogródku.

O świcie i o zmierzchu szedł stamtąd upojny zapach maciejki, którą matka z uporem godnym lepszej sprawy nazywała grecką lewkonią. Przez nią doszła do mnie po raz pierwszy woń bliska fiołkowej Grecji, w której, niestety, nigdy nie byłem i już więcej niż pewne nigdy nie będę.

Od tego pospolitego ruszenia kwiatów, od granicy liliowych i białych bzów, buldenezży, jaśminu bąbelków zaczynał się pielęgnowany ogródek matki z konstelacjami klombów. Słonecznych szaławii w centrum, półksiężyców begonii, planetarium z gwiazdami goździków, aster w plejadach. Za nimi mleczna droga lewkonii i zodiak róż sztamowych.

Parada kwiatów astralnych z lat kolorowych dzieciństwa i pierwszej młodości od wiosny konwaliowo-tulipanowej po gasnącą w astrach jesień. Pomieszał się obraz rzeczywisty z urojonym, jakby jeden należał do drugiego w retuszach czasu minionego.

Wyłania się on nie samoistnie, jako domena matki, lecz wiąże się ślubnym węzłem nierozzerwalnej jedności z ojca wysokim sadem. W podcieniach malowniczych na tle i w głębi zieleni podwójnej – trawników i nawisów gałęzi. Z pochylonym słońcem pod zachód.

Mgła nadciąga od łąk, oddycha rzeką, w której słońce tonie coraz bardziej. Od niego idę śladem gospodarza, co ociężałym krokiem wraca z pola przez ogród. Ze słońcem dogasa wśród cieni coraz dłuższych.

Może na ślad trafię, jeśli zacznę chodzić od drzewa do drzewa. Przecież stare i z własnego szczepienia jeszcze żyją w pniach narastających latami w rozłożystych koronach i w gałęziach owocujących. Zapewne do nich kroki skierował, żeby się soczystym owocem po całodziennym trudzie pracy orzeźwić przed posiłkiem wieczornym.

Nie ma go tu, nie ma go tam. W środku sadu staję. Pod którym drzewem mogę go znaleźć? Chyba pod malinówką, która jest drzewem wiadomości w imię ojca i pierworodnego syna. Razem wielki dół wykopali i na warstwach ziemi kompostowej jabłoneczkę posadzili.

W imię Ojca (–) i Syna (S.) odnajduję ojca. Starszy od ojca syn zapomina o różnicy wieku i zaczyna się dialog żywego z umarłym.

(–) Sadu mego nie widzę. Z dawnego ledwie drzew kilka. Gdzie moje

starsze niż pamięć cukrówki. Takich wysokich i rozłożystych nie było na całą okolicę. Gdzie moje winówki, szarobery? Gdzie rodzajne pomarańczówki i niezawodne pergamówki? Gruszek mało, jak na lekarstwo. A przecież takiej naturalnej słodyczy, jaka jest w gruszkach, próżno szukać w innych owocach.

(S.) Zima okupacyjna trzydziestego dziewiątego roku twoim drzewom odebrała w większości płodonośne życie i słodycz owocowania. Trzaskający mróz zamknął je w obozie zagłady i wróg je z dymem puścił przez komin.

(-) Gdzie śliwki z mego szczepienia, we wszystkich odmianach barw od fioletu francuskich węgierki przez śliwki różowe, rumiane, szkarłatne aż do zielonych renklod. Zamiast adamaszek wzdłuż płotu od Tryfity wierzby płaczące. Jakby płakały nad moim ogrodem z opuszczonymi ramionami, chociaż słońce na pochmurnym niebie zaszło na pogodę.

(S.) Taka pogoda panowała we wrześniu przeszło czterdzieści lat temu. O niebo pochmurne składaliśmy modły. Na nic. Jakby Bóg chciał widzieć naocznie, co się na ziemi wyprawia nie tylko nad ludzkie pojęcie, lecz i boskie zarazem. Zagładzie kraju pogoda sprzyjała w blasku słońca. Pogoda, z którą już się nie pogodzę, póki wojny na świecie istnieją w zawieszeniu.

(-) Nie ma też dawnych jabłonek. Na szczęście wśród kilku ocalałych jest ta moja, jak mój syn najstarszy, pierworodna. Jabłoń w dniu narodzin najmłodszego, który pono odszedł na zawsze w ślad za najstarszym – posadzona. Pamiętaj synu, w niej jednej, tak jak w tobie, jeszcze żyję. Poza tym twój sad nie jest już moim. Tylko przez pamięć do śladów jego wracam.

(S.) Ojczy, przecież nie ja zawiniłem. Z domu wysiedlony przez żandarmów przez prawie pięć lat nie miałem prawa wejść do ogrodu. Dom wysiedlony w bezprawiu nie mógł nic poradzić. Na miejscu wymartych drzew dawnego sadu wrogowie posadzili nowy, co rosnać nie chciał, jakby ciążyła na nim ręka drzewobójcza. Grusze odmówiły posłuszeństwa. Nie wiadomo, dlaczego usychają.

(-) Twój sad jest za mało ugałęziony. Trudno w nim znaleźć miejsce niewidoczne, bo nie mam prawa się ujawnić. Dla innych może mieć swoją rację życiową. Ma znacznie więcej słońca i nieba, ale brak mu tej kochającej ręki, którą czuję w kwiatach i zwłaszcza w różach.

(S.) Poradz więc, jak tę rękę odnaleźć. Ojczy, w twoim sadzie było trzy razy więcej drzew niż w obecnym. W głowie się nie mieści, jak w takim gąszczu mogły żyć i bujnie rodzić. Przecież to był nie sad, lecz las owocujący.

(-) Gałęziom nie pozwalałem się klócić. Niedaleko starych sadziłem młode i stopniowo stare usuwałem. Drzewa w górę rosły różnymi wysokościami i w ten sposób miały więcej wolnej przestrzeni. Walczyłem z drzew dzikimi wilkami i z robactwem podkornych szkodników. Zaprzedałem się drzewom bez pamięci.

(S.) I dlatego przez te drzewa się odzywasz — na znak zgody łysiną błysnął i w drzewo własne wstąpił. Liście podmuchem wzruszone na pożegnanie zaszeptały w sobie wielolistne.

(-) Mądrzy są ludzie, zaradne zwierzęta, ale najprawdziwsze są drzewa. Bezlistne, nagic wytrzymują mróz dokuczliwy i cierpliwie czekają wiosny. Sposobią pączki, które, skoro słońce przygrzeje, wydają listki trzepotliwe. A potem na zabój jedne przez drugie kwitną na biało z różowym odcieniem. Nie ma różnicy, stare czy młode, a nawet często stare piękniej od młodych. Uroda ich krótkotrwała, lecz owocowanie z rogu obfitości to już cały cykl zapowiedzi i spełnień czterech pór roku narastających.

Syn podnosi rękę w górę, przyciąga ramię gałęzi i z drzewa wiadomości owocu pierworodnego, zrywa jabłko w rumieńcu dorodne, waży w rękę i jabłko odzywa się w milczeniu nie swoim głosem.

(-) Jabłko pierworodne z raję dało nam ziemię, spadające stało się jabłkiem mądrości, podległym prawu grawitacji, i wreszcie jabłko utrwalone w obrazie, co ożywia martwą naturę.

Z jabłkiem pojednania drzewnego syn kieruje kroki, łaską wspierane, w stronę domu. Z sadu, w którym ginie ogród, zmierza do ogródka Matki (-) i oprószony siwym zmierzchem siada Syn (S.) na ławce opodal ściany.

Cienie przestały rosnać. Jedne w drugich się zatracają. Z ich teńnienia wyłania się mglista zjawia matki. Chciała przemówić po ludzku, ale nie mogła inaczej, jak tylko przez kwiaty, do których nie przestała wracać.

(-) Coraz rzadziej z nami rozmawiasz, a my zawsze jesteśmy przy tobie w domu i ogrodzie. Do dawnego naszego mieszkania, do dawnych naszych starych mebli chętnie wracamy. W niepewności czujemy się pewniejsi, dodają nam odwagi. Chociaż zamykasz się w swoim sypial-

nym pokoiku, my w stołowym słyszymy, jak pukasz na maszynie. Potem pisanie cichnie i słyszymy przez ścianę, jak czytasz wiersze. Innych i swoje. Są w twoich ustach takie wybrane w korcu maku i takie nadzwyczajne, ale my ich nie pojmujemy. A teraz nie wiem, kto ciebie natchnął, że piszesz o nas. Trochę siebie nie poznajemy, ale wdzięczni jesteśmy, że o nas pamiętasz i umiesz nas ubrać w słowa piękniejsze od życia.

(S.) Matko, chciałem dać świadectwo prawdzie, a to, co mówisz, świadczy, że piękno mego słowa nie jest prawdziwe. Wciąż go szukam i znaleźć go nie umiem. A przecież natchnienie wyniosłem z twego ogródka. Z konwalii skupień, z rabat narcyzów, z grządek bratków, z klombów lewkonii podwójnej, z rozognionych szalwii, z różowych goździków, z igielek aster. A co mówić o kulach peonii, daliach, gladiolusach, mieczykach cynobrówki. Przez twoje kwiaty wracałem i wracam do bujnie krzewiącego się bzu, w którym na próżno szukałem pięciokwiatu szczęścia. A jednak wciąż jeszcze nocami wracam do upojnego jaśminu, który mnie miłosnym zapachem odurzał.

(-) Widzisz barwy, a mnie się już barwy w oczach zmieszały, tylko czuję zapach kwiatów, zwłaszcza tych niepokąźnych. Fiołków, konwalii i szczególnie twojej maciejki. To są moje niezapominajki pokrewne niebieskim. Pośród niezapominajek zapomniałeś o rzedzie, która nie jest kwiatem, lecz perfumą kwiatów. Te i wszystkie inne zapachy wydobyte z ziemi do mogiły zabieram, do grobu, żeby przytłumić trupi oddech zgnilizny.

(S.) Matko, czemu tak smutno mówisz o tym, do czego nikt się nie kwapi, choćby znajdował się na ostatnich nogach. Wszak przez ciebie tak długo żyję, że od ojca znacznie starszy jestem i równolatkim twoim, Matko Smutku mego.

(-) O nie, mój synu, nie przychodzę cię smucić ani pocieszać. To już do mnie nie należy. Ze świata, poza smutkiem i pocieszeniem, przychodzę do twego ogródka, bo mój własny mi przypomina i przychodzę jeszcze do czegoś więcej. Do twego bogactwa róż, które tylko słowik potrafi wysłowić. Z twego wiersza.

(S.) Kochałaś róże, jak pamiętam, bez wzajemności. Pieczętnowane pieczętowiec nie wiem, dlaczego marniały. Może miały za dobrze, a dobroć w życiu potrzebna jest w miarę. A może w innych kwiatkach się rozproszyła i róże przez próżność od ciebie się odwróciły.

(-) Synu, mylisz się, to jest mój różaniec, który o świcie i o zmierzchu we łzach rosy odmawiam i już inaczej modlić się nie umiem i nie mogę. To jest moja wiara do wiary nie podobna, wbrew mojej pobożności.

(S.) Matko, mówisz o kwiatach, jakby prócz nich nic więcej nie było na ziemi. A ojciec temu przeczy. Mówi, że kwiat bez owocu jest prózną piękności ozdobą. Zachwycił się swoją urodą i zatrzymał w rozwoju. I cóż, że jest piękny pięknem małożytecznym. Jest w nim obietnica, zapowiedź, a brak spełnienia.

(-) Mój synu, nie wszystko, co nie jest spełnieniem ostatecznym w drodze rozwoju należy uznać za bezużyteczne. Są takie rośliny, które znajdują spełnienie w korzeniu, łodydze, w liściu, w aromacie kwiatu. I gdyby tych różnych spełnień nie było, czyż zerwany owoc potrafiłby sam siebie wytłumaczyć... Za daleko nad pojęcie doczesne zabrnęłam. Zatraciłam się w kwiatach, które noc łagodnie uśpiła. Czuję jedynie zapach maciejki.

Wiatr mgłą westchnął. Ławka skrzypnęła. Nie wiem, czy z tego czy z tamtego świata.

W CIENIU BRZOZY

Drzewa, ja ileż wam winienem! Mógłbym zacząć, jak poezji drzew pierwszy Adam, gdyby zamiast litewskich borów, puszczy i mateczników mogły przemówić do mnie miodobory bursztynowe, dawne mazowieckie puszcze zielonym kołysmem morza szumiące nad głową.

Z nich ocalały ledwie resztki puszczy kurpiowskiej i kampsinoskiej. Bory starodrzewne już należą do rzadkości, lasy straciły wewnętrzne skupienia, gaje par tanecznych nie tworzą. Brzoza rozstała się z małżonkiem grabem. Bez mogiły płaczka wdowa oplakuje groby, szczególnie polne poległych.

Mimo to drzewa mazowieckie nadal są ozdobą ziemi w jej skąpej urodzie. W dalekowzrocznym ubóstwie urozmaicają krajobraz akcentami zieleni. Drzewostany bogatsze giną w nadmiarze zieloności. Wbrew nim zindywidualizowane same z siebie wydobywają piękno, na przekór zbiorowemu, własne.

W krainie wielkich dolin podwójne korowody drzew przydrożnych ożywiają monotonię podróźniczą. Każde ich powitanie jest zarazem pozegnaniem. Mają w mazurkach zielono w głowie, a w preludiach deszczowych pluszczą.

Od Chopina, co podniósł ludowe do ogólnoludzkiego, do drzew Orfeja, które ze sobą po Mazowszu wodził. Od płockiego dębu szły za nim brzozy, wierzby, olchy, klony, jarzębina, żeby z umiłowanymi topolami odejść. Z świecami zielonymi pod niebem i pod wodą. Podwójnymi wierzchołkami.

Wysmukłych krewniaczkami są topole bardziej rozłożyste, bliżej zagród skupione. Ściągają na siebie gniew trzaskawic niebieskich i w ten sposób czuwają nad chatami wiejskimi. Nad stodołą topola z broną bezużyteczną szczyty się bocianim gniazdem. Klekotem zapowiada wiosnę i bardziej ożywiony przyrost naturalny dzieci. Wbrew zabiegom lekarskim antydemograficznym.

Jeśli topole bardziej trzymają się wsi i zagród, to wierzby raczej prowadzą żywot wędrowny. Biegną w stronę rzeki, suną za bydłem na wygon o świcie i wracają z krowami o zmierzchu. Dzięki nim nie tak łatwo w mroku zginać. Towarzyszą w lata skwarze i zimą też nie opuszczają zbłąkanego w zamieci. Miotłami na pniu w górę podniesionymi wskażą drogę do najbliższej chaty.

Wyglądają na wiedźmy kołtuniaste, co w dudach świecą próchnem starości, a mimo to we mnie wciąż jeszcze żyją w ulikaniu pasterskim. Ulinioną z gałązki wierzbowej fletnię drzewną dotąd słyszę, jak piska na pastwiskach.

Od tych pastwisk tylko krok do niedawnych moczarów i bagien, do których olsze biegły z tej racji, że umiały skakać z kępy na kępę. W kępach się mnożyły i wspomagały, żeby w korzeniach nie stracić gruntu pod nogami.

Wiodły życie pionierskie na nieużytkach, mimo że topór dawał im się we znaki. Świadczyły o tym czerwone pnie katowskie. Pod toporem, zamiast ginać, jeszcze bardziej się krzewiły w zbiorowej opozycji.

To w dolinie rzeki Wkry, już uregulowanej, a poza jej zasięgiem wydmy i usypiska, nie wiem, dlaczego nazwane Białogóra i Tatarską Górą, z własną strażą piaseczną kolczastych jałowców, skarłatych i pokrętnych chojśniaków.

Nie złorzecz im, że żyją w kalekim stanie, na przekór sobie i handlują cygańskim piaskiem pod wiatr, co z niego kręci bicze. Pytanie: na kogo?

i przeciw komu? Piaski i Mazowsze z sobą się zrosły. Weszły w przysłowie.

Do tych wiejskich drzew polnych, łącznych i piasecznych dochodzą jeszcze niedobitki dworskie, bo dwory w większości wyginęły. Jedynie w alejach tu i tam dotychczas pokutują złote kandelabry kasztanów, korony klonów i sklepienia lip jako resztki szumnej służby dworskiej.

Wymieniam drzewa bardziej znane, lecz nie odmawiam racji innym żyjącym na własny rachunek. Mam na myśli zwłaszcza jarzębiny, które ostatnimi czasy zaglądnęły do moich frontowych okien. Strojne w czerwone korale jesień żegnają, żeby dać wyraz wiary w niezawodny powrót wiosny.

Zacząłem od gajowej brzozy i wracam do brzozy samotnej, chociaż o brzozie mówić odkrywczo rzecz wcale nie łatwa. Za bardzo poetyczna jako panna leśna i za bardzo sentymentalna jako Laurowa kochanka po stracie Filona. Jedynie jako wdowa wciąż jeszcze wieśniaczo opłakuje zmarłych.

Krajobraz mazowiecki więcej żyje w rozproszeniu drzew niż w ich skupieniu. Z prywatnej inicjatywy wbrew zbiorowej. Osamotnione jedne do drugich biegną, jakby chciały dowieść, że ich jest za mało.

Powinno ich być więcej. Przecież drzewa należą nie tylko do żywych, lecz i do zmarłych. Jeśli wśród żywych najczęściej rosną w rozproszeniu, to wśród cmentarnych w skupieniu i przy tym w urozmaiceniu różnych odmian pomieszanych z sobą. To są wyspy odosobnienia. Zielone od wiosny rozkwitłej, latami rozrosłej, przez rdzawą jesień do listopadowego święta zmarłych.

Pod tym względem bieżuński cmentarz był uzupełnieniem pałacowego parku, niestety zamkniętego dla zwiedzających. W tej sytuacji wzrósł na znaczeniu i stał się celem spacerów dla uznawców świeżego powietrza, dla par zakochanych pod rękę, dla par małżeńskich chodzących na własną rękę, dla wdów i wdowców aż do starców wśród zmarłych poszukujących samych siebie.

Przez te spacery wracam do dzieciństwa i przede wszystkim do dziecięcego cmentarza. Do piasecznych maleńkich mogiłek, których było tyle, że aż gubiłem się w moim nieporadnym liczeniu. Górowały dziecięce nad młodzieżowymi, a te z kolei nad dorosłymi i steranymi wiekiem. Jakby śmierć w swoim bezprawiu na ironię sprawiedliwa była bliższa dzieciństwu i młodości, a nie wiekowi, w którym wiek i wieko jakże pasują do siebie.

Na cmentarz zazwyczaj szedłem z kwiatami mojej matki. Wiązanki niezapominajek i nieśmiertelników składałem na grobach półrocznego Ciesiulka i oczka w głowie rodziców, Helenki, Orszulki naszego domu. Była jej starszą siostrzyczką. Miała lat 9, a już знаła całą "Trylogię" Sienkiewicza. Jej ostatnią spowiedź, jak z "Anielki", po latach sędziwy proboszcz Szostakiewicz do kresu nocy będzie wspominał ze wzruszeniem szczególnym.

Wiosną w rozkrzewieniu krzyż Ciesiulka pachniał bzami, a jesienią kamienny pomnik Helenki, chociaż klonu już nie ma, widzę jednak utrwalony w klonowych liściach. W dłoniach bezradnie opadłych.

Nieco dalej w głąb babka, matka ojca, spoczywała pod wiecznie zielonym świerkiem, a ostatni burmistrz pod dębem, jakby w powiązaniu z domem, który rodzice otrzymali jako wiano w posagu ze starociami mebli od swych ojców. Car miastu odebrał klucze, a ja szukam sposobu, żeby do nas wrócili.

Drzewa wiekiem nadszarpnięte padły pod toporem, ale dwóch lip, które w górze więcej niż półwiecznymi konarami się spletały, nikt tknąć się nie ośmielił. Trwały do zupełnego upadku pod murem grzebalnego bezpieczeństwa na straży bezimiennej powstańczej mogiły, na której trumny, chociaż już po nich nie ma żadnego śladu, dotąd patrzę z otwartego okna mojej matki.

Tego okna nie ma, bo jeszcze matki wtedy nie było na świecie, ale mimo to widzę z jej okna, przekazanego przez okno babki, pogrzeb poległych powstańców unaoczniiony. Od lochów zamoyskiego zamku szedł moją ulicą Zamkową kondukt 16 trumien, kiedy nagle zerwał się wichur, który przeszedł prawie że w huragan. Ciemność złowroga nadciągnęła od strony pałacu.

Lunał deszcz gwałtowny, nawalny. Ludzie z eksporty rozbiegli się po domach. Trumny porzucili na środku ulicy. Woda ziemię zawzięcie szorowała, żeby zatrzeć ślady. A drzewa smagane wichrem i biczowane deszczem kłoniły się do ziemi, wiernopoddańczej ziemi przypisane.

Napór rozpasanych żywiołów może trwał 10 minut, może kwadrans, nim złowieszczy huragan z czarną chmurą pogonił w stronę grzebalnego cmentarza. Po nim obłoki czoło nieba przetały i przeblyskami rozjaśniły błękit.

Ludzie wrócili do trumien źle zbitych, ledwie heblowanych, i ziemi

w górę podnieśli. Płaczące drzewnymi szparami złożyli na barkach i ruszyli dalej Zamkową, przez Stary Rynek, Warszawską, Kościelną i od Krajnika do bramy cmentarnej. Bez żałobników i bez bicia dzwonów w asyście strażników z szaszkami. Na wieczny spoczynek.

Ich wachmistrz kroczył na czele. Dumny, że Bóg cara strzeże i w gniewie mu sprzyja. Burza z jasnego nieba i płacz trumien tego wymownym dowodem. Wiadomo, miatieźnikom na pohybel.

Co innego okna mówiły zamknięte, bo nie wolno było ich otworzyć. Ludzie nad losem powstańców nie mogli jawnie zapłakać, ale niebiosą się zlitowały i niebo opłakało poległych. Wbrew zaborczym zwycięzcom – gloria victis!

Ten pogrzeb, mimo że go nie widziałem i tylko powołuję się na wersję matki, przysłonił wszystkie inne pogrzeby, których było coraz więcej w zabagnionej dolinie. W związku z tym małemu cmentarzowi groziło nadmierne przeludnienie, a zmarłym: eksmisja zmarłych ojców i matek na rzecz synów i córek..

Cmentarz stary – według opowieści ojca – był o połowę mniejszy od obecnego i co 25 lat, najwyżej 30, trzeba było groby rozkopywać, by pochować następne pokolenie. Czaszki wykopane, piszczele i kości różne składano do opuszczonej kaplicy, którą zmieniono na kostnicę.

Z początku była na klucz zamykana przez kościelnego, a kiedy stary zamek się popsuł, na haczyk. Każdy więc do kostnicy mógł się dostać i gdzie kości rzucone, zagrać w kości.

Kostnica mała, a przestrzeń nad nią otwarta. Urwipołciów nie brak. Jeden z nich wyniósł piszczel. Zamachnął się i rzucił daleko przed siebie. Zachęcił innych do tego, żeby spróbowali, kto z nich dalej rzuci. W ten sposób kości, zamiast w grobie się znaleźć, znalazły się na grobach.

Profanacja, skaranie boskie! Proboszcz grzmiał z ambony i kości znów się znalazły w kostnicy. Chłopackowie jednak nie dali za wygraną. Jeden i drugi ukradkiem “skierował” czaszkę. Wstawili do wnętrza świeczkę i na podobieństwo świetlików ludzi straszili po nocy.

Wówczas ksiądz proboszcz kazał przenieść kości pod kościół i cmentarz grzebalny sumptem parafialnym poszerzył. Nowy obsadził topolami, a stary wzbogacił nowymi drzewami, żeby groby przestały się tłoczyć i między sobą znalazły więcej wolnej przestrzeni... umarłej.

Tyle dowiedziałem się od ojca, który kochał drzewa i poza domowy-

mi i parkowymi ze szczególną admiracją mówił o cmentarnych ustawionych jak płaczki pogrzebowe tłumiące w sobie płacz i narzekanie.

Jeszcze ciekawsze są te cmentarne z nagrobków. Spójrz na nie uważnie — mówił do mnie — i powiedz, czy się różnią od tych pozacmentarnych. Milczysz. Nie widzisz różnicy. Dobrze przyjrzyj się liściom. Są ciemniejsze. Pytasz, dlaczego. Nie tak trudno odpowiedzieć, jeśli weźmiemy pod uwagę miejsce, na którym stoimy. Drzewa szumią o tym i gdyby mogły mówić, tak by odwilgły — Korzeniami sięgamy do mogił głęboko. Z umarłych soki czerpiemy. W ten sposób drzewa i groby stanowią jedność świata żywego z umarłymi. Stąd nasza zieleń przez wzajemne cieniowanie jest ciemniejsza.

Zwróć uwagę na ten wzgórek parafialny proboszczów, na prawo od wejściowej bramy. Ręczę, że nie ma nigdzie tak pięknego skupienia drzew na całym cmentarzu. Tak wygląda, jakby pod zielonym baldachimem drzew z dawnymi proboszczami zmartwychpowstania miała ruszyć procesja.

Przy tym wzgórkowi samotnie stojąca brzoza jakby pojęła intencję. Pochyleniem żegnała ojca z wiarą, że do niej wróci. Nic dziwnego, że po śmierci ojca mego przyszła matka z bratem pod brzozę. Nie doczekał Zmartwychwstania. Umarł przed niedzielą palmową, od której zaczyna się Wielki Tydzień.

W małym murowanym domku bez drzwi i okien zamieszkał w cieniu brzozy. Ojca zapowiedź wiosny zabrała, a po latach wielu jesień listopadowa przygarnęła matkę. Co rok brzoza ożywała ojcem, a matką obumierała.

Takim od dawna za mojej pamięci był stary cmentarz cienisty. Cieniom zmarłych bliski. Drzewa rosły podług własnej woli, tak jak chciały. Koronami rosły w górę i między drzewnymi pniami poczęły się tworzyć luki.

W nie wtargnęły krzewy z bzem pachnącym i z bzem dzikim na czele. Te krzewy i bujne chwasty pod przewodem pokrzyw tak się rozpanoszyły, że mogły nawet przy pomnikach zaczęły ginąć. Cmentarz wymagał uporządkowania.

Stary schorowany proboszcz nie mógł podolać zadaniu. O uzdrowieniu cmentarza nie myślał, sam się leczył i w poszukiwaniu zdrowia, nie pocieszony lekami, umarł, by spocząć nie na naszym zaniedbanym cmentarzu.

Po nim przyszedł nowy z Bogatego, spod Przasnysza, z ziem boga-

ciej wyposażonych. Typowy proboszcz wiejski do małomiejskiego Bieźunia niezbyt pasował, bo w nim się zaczął szarogęsić.

Zaczął od cmentarza z gorliwością niebywałą. W pierwszym etapie chwalebna. Krzewy i chwasty wytrzebił. Wyszłę i zwisające konary drzew wyrębał. Nie ma co mówić, zrobił porządek.

Na tym jednak nie poprzestał, bo przyszła jesień i robotę jego przysłoniła liśćmi. Coś podobnego? Trzeba się policzyć z drzewami. Kto tu rządzi: drzewa? czy proboszcz? Zamiast zdobić, zaśmiecają cmentarz, korzeniami rozsadzają groby. Przeprowadzić czystkę? Za mało. Wytępić.

Zginęła oaza zieleni, piasek pustyni odkryła. Wyrzała na światło dzienne tandeta grobów pobielanych i pseudogrobowców z pustaków. Pomniki kamienne Zientalewiczów, zharmonizowane z drzewami, zagubiły się w martwocie.

W osłupieniu tych kamiennych pomników patrzę i nie mogę zapamiętałych oczu wyzwolić z pogromu nie do opisania. Na cmentarzu ludzkim cmentarz nieludzki: czerwone pnie katowskie z trupami drzew, które już do grzebalnych nie należą. Korony ich z dymem pójda przez kominy.

Drzewa polskie zginą, żeby porządek mógł być na cmentarzu. Zginą drzewa domowe i tylko po nich zostaną w alei głównej posadzone z rodziny nienawistnych cyprysów (Postume, Postume), z dożywotników żywotniki – tuje.

Jeszcze są małe, a już każda do mnie mówi tu-ja, tu-ja proboszczowa. Swoje chwalicie, a mnie nie znacie, jak jestem porządna i żałobę własną wciąż noszę. Z obcych krajów do was ją przyniosłam.

Nawet płaczka brzoza z nami konkurencji nie wytrzymała. Tak mówi tu-ja ostatnia w pobliżu brzozy posadzona. Nie ma na to zgody. Ta brzoza jednak we mnie żyje i kiedy mówię — na co z boleścią się szerzyć — ona odpowiada we mnie — ja dam rzeczy ostateczne słowo:

— Najpierw odrąbano mi płaczące ramiona, żebym nie mogła nad mogiłą płakać. Ocalał jedynie wierzchołek podobny do brzozowej miotły. Mróz się nade mną zlitował i oddalił wyrok do wiosny, z którą zamiast doczesnego zmartwychwstania przyszedł dzień sądu ostatecznego. Proboszcz przy egzekucji trwał niewzruszony. Jedni podkomendni na moją białą szyję zarzucili łańcuch, a drudzy toporami błyskali w słońcu. W piennej nodze podcięta zaczęłam chwiać się. Łańcuch z siłą ludzką ludzie ciągnęli w stronę przeciwną od pomnika, a ja przecież należałam do pomni-

ka. Ruch oporu we mnie się odezwał. Nie pozwoliłam na podobną bezkarność. W przewrotności runęłam na pomnik i krzyż strzaskałam.

Proboszcz dłonie załamał. Będzie mnie drogo ta brzoza kosztowała.

DWIE ZAPOWIEDZI

BRACIA. Przykazania nic o was nie mówią. Czcij ojca swego i matkę swoją — przykazują synom i córkom. Braci i sióstr nie ma. Widocznie pierwsi na to nie zasługiwali. Dzielili ich bratobójcza zbrodnia. Podobnie, jak u pogańskich Rzymian Romulusa i Remusa.

Nie było lepiej w czasach patriarchalnych. Wcześniej urodzony bliźniaczy Ezaw pierworództwo ustąpił, a błogosławieństwo musiał ustąpić później urodzonemu Jakubowi, ponieważ ten wyzyskał ślepotę ojca i włożył w drugą zwierzęcą skórę kosmatego brata. Dziewięciu braci zawistnych o względy ojca sprzedało Józefa kupcom za 20 srebrników. Przykłady wymowne.

Po tych zwaśnionych starotestamentowych dopiero z początkiem naszej ery pojawili się nowotestamentowi bracia w Chrystusie, należący do wielkiej rodziny ewangelicznej. W różnych rodzajach mądrości scholastycznej i ubóstwa prostaczków, zarówno braci, jak sióstr św. Franciszka, patrona mego ojca i Franciszki Rzymianki — niezłomnej matki.

Niemalą również rolę w średniowieczu odegrali bracia zakonów rycerskich z wypraw krzyżowych zaszczytnych i mniej zaszczytnych zakonów nawracających pogan, zwłaszcza Krzyżaków, gorszych od zarazy, ponieważ metody walki z poganami skierowali przeciw nowonawróconym. Osłabiły spoistość Kościoła i doprowadziły do reformacji, a przez nią do kontreformacji i do jezuitów z okresu naszego sarmatyzmu barokowego i saskiego.

Szlachta, zanim się stała bracią szlachecką, sprzyjała rozwojowi Rzeczypospolitej, lecz kiedy w złotej wolności wychowana przez jezuitów stała się narzędziem w rękach magnaterii, między innymi, przyczyniła się do upadku Polski, mimo wyraźnych objawów odrodzenia narodowego.

Zamiast życia i pracy dla Ojczyzny, w trudzie i znoju, szablą powstańcza i poezja romantyczna wniosły JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA. Dlaczego:

JESZCZE, dopowiada WARSZAWIANKA: “Dziś twój tryumf albo zgon”. W pieśni na pierwszym miejscu tryumf, a na drugim rozłączny zgon. A w rzeczywistości od klęski do klęski. A między nimi: Bracia rocznica... i długie rodaków rozmowy.

BRAT STARSZY

Syn pierworodny – niebywała radość ojca, w czepku urodzony – spełnienie oczekiwań matki. Przez syna matka bez żadnej walki odniosła zwycięstwo nad ojcem. Zwycięstwo tym większe, bo ledwie go życiem nie przypłaciła. Podobnie jak matki, wątpliwy też był owoc jej żywota. Rodzicielki łóżko i kołyska przez dłuższy czas czuły się zagrożone. Na szczęście zagrożenie z jednej strony dodawało siły drugiej. Przez taką wzajemną zależność oboje utrzymali się przy życiu. Dzięki decydującej woli życia.

W związku z tym kołyska zaczęła coraz mniej kwilić, kwękać, labidzić. Zginęła mgiełka z oczu. W oprawie czarnych rzęs z ciemnymi brwiami źrenice stały się bardziej wyraziste i czytelne, osobliwe i wymowne.

Zastanawiające. Dziecko nie było skore do śmiechu i kiedy je matka na różne sposoby rozśmieszyć usiłowała, synek w usiłowaniach matki nie widział nic szczególnego, z czego by się śmiać należało.

Ojciec jednak jeszcze po swojemu spróbował. Podkreślił węża, palce wskazujące skrzyżował i skrobiąc marchewkę zająkliwie pierwszą sylabę imienia zazygzykał, Zyg-Zyg, a potem drugą uciesznie wydłużył -muś-muś. To muś było tak zabawne, że zakwitł dziecięcy uśmiech na twarzączce.

Od tego czasu ojciec i matka z powodu narodzin uśmiechu odrzucili marchewkową sylabę i do lat szkolnych poprzestali na drugiej. Tym bardziej, że Muś stało się jego pierwszym słowem.

Odnosiło się to zarówno do matki ma-ma, nie wiadomo, co ma w rączce jak i ojca ta-ta, nie wiadomo, która rączka, która nóżka. Od niego zaczęły się wszystkie inne słowa. Wymawiane prawidłowo, czysto, z własną intonacją.

Przez tę własną intonację wszystko nabierało innego znaczenia niż pospolite. Umiał mówić nie tylko słowami, ale i spojrzeniem. Kto się

znalazł w jego zasięgu, ten się liczył, inni schodzili na plan dalszy. Rozwijał się szybciej od innych dzieci i tyle w nim było obietnic, że aż wierzyć się nie chciało w tych czasach schyłkowych XIX wieku.

Nie bez zastrzeżeń ze strony ludzi powątpiewających i wyroczyń. Taki nad wiek rozwinięty, a przy tym taki wątły. Za prędko nad wiek żyje, żeby się uchwalił. Podobny do swej starszej siostrzyczki Helenki, co się tak pięknie zapowiadała i nawet dziesięciu lat nie dożyła.

O tym rodzice słuchać nie chcieli i dokładali wszystkich starań, żeby synka utrzymać przy życiu. Nie był dzieckiem chimerycznym, dokuczliwym. Nocą nie budził matki. Prawie że nie płakał, chociaż rzęsy miał wilgotne.

Nie uśmiechał się do życia, ale życie nie odwróciło się od niego. Przeciwnie, zaczęło się uśmiechać. I temu uśmiechowi, który wyniósł z naszego domu, wiernym pozostał na zawsze. I przez tę wierność jest mi bliski w życiu moim, mniej obiecującym wbrew jego obietnicom.

Nie wiadomo, kiedy nauczył się składać wycięte wielkie litery, sylaby do sylab zbierać, sylabizować i czytać. Jako Gryzmuś ojca wielkim calowym ołówkiem, gdzie popadło, gryzmolił. Z nich wyłoniły się cyfry i liczby. Z palcy przeszły do kartek kajetu. Tak sobie od niechcienia.

Do dziewiątego roku życia ze względu na stan zdrowia nie uczęszczał do szkoły. Matka pieczołowicie trzymała synka przy sobie, żeby nad nim czuwać i jednocześnie bolała nad tym, że wychowuje się poza szkołą. Wiek opóźniony zemści się na nim — mówiła. Jednakże ojciec był innego zdania.

— Widzisz matka, z chłopcem to jest tak, jak z podrastającym źrebakiem. Jeśli za prędko zaprzędziesz do pług, to na prawdziwego konia nigdy nie wyrosnie. Siły przedwcześnie nadszarpię, a życie jest długie. Znacznie dłuższe od końskiego, chociaż mówi się końskie zdrowie. Trzeba do niego fizycznie chłopca przygotować, żeby przed czasem sił nie roztrwoniał.

Matce to porównanie końskie wydawało się bliższe stajni niż domu, lecz sama nie umiała się zdobyć na nic lepszego. Wyłącznie rządowa ruska szkoła była sprzeczna z jej uczuciami i aspiracjami osobistymi.

Niepodległość wyniosła ze swojego domu rodzinnego. Szczególnie z odcinków zszytych gazet zaczytanego Sienkiewicza. Z obłąconego Zbaraża, z cudownej Jasnogóry, co walczyła do upadłego i umiała tak się bronić, jak my na straconych, wydawało się, pozycjach — dodaję od siebie.

Dla matki Sienkiewicz był Senkiewiczem i ani brat, ani później ja wcale jej nie dowiodłem, że wielkie S powinno być zmiękczone przez małe i. Matka z uporem trwała przy swoim. Wzruszaliśmy ramionami. A dziś ja już wzruszać przestałem. Jej w nagłosie chodziło nie o Sień, lecz o Sen, na pół baśniowy, na pół biblijny przez potop zaborczy z arki snu wydobyty.

Najbliższa mojej matce była siostra, moja ciocia Stasia. Ona pierwsza pojęła, w czym tkwi istota rzeczy. Ona to po naradzie z mężem Antosiem postanowiła zabrać do siebie już nie Musia, lecz Zygmunia. Do Żuromina, do podwójnej szkoły elementarnej: wuja rosyjskiej i mojej cioci polskiej.

W jednej i drugiej Zygmuś zabłysnął. W ciągu dwóch lat przerobił 4 oddziały i otrzymał z samych piat' świadectwo ukończenia Naczalno-wo Narodnowo Uczyliszcza, po którym z rosyjską szkołą raz na zawsze skończył.

Nadszedł rok 1905. Pamiętny wrzeniami i walką o szkołę polską. Wuj Władek, brat matki, porzucił studia uniwersyteckie i wrócił na wieś, a Muś do domu. Czasy były niespokojne i z wątlą latoroślą nie było co się pchać w wir burzliwych zdarzeń rewolucyjnych naszej klasy robotniczej.

Z tego powodu przez dwa lata siedział w domu i przy pomocy, już nie pamiętam kogo, przerobił klasę wstępną i pierwszą podług programu gimnazjum polskiego. Uczył się do południa, a po południu trochę w domu pomagał i nade wszystko czytał Kraszewskiego i Sienkiewicza, który podówczas jako pierwszy Polak otrzymał nagrodę Nobla.

To były jego wieczory pod lampą naftową, w których na głos w naszym rodzinnym kole piękniejsze stronicze ze swojej lektury codziennej z własnym słowem wiążącym, czytał. Dzięki temu nauczyłem się czytać w wyobraźni.

Przez te wieczory pod lampą sprawa szkoły polskiej stawała się coraz bardziej aktualną. Tym więcej, że trudności finansowe mego wiatracznego ojca po śmierci teścia przestały się liczyć. Szwagier Władek dopuścił ojca do spółki przy wodnym młynie, który po ojcu, a moim dziadku odziedziczył.

Chociaż już było dobrze po terminie, ojciec, żeby zawodu nie sprawić matce, znalazł skuteczne wyjście z trudnej sytuacji. Złożył znaczną sumę na rzecz budowy Gimnazjum Macierzy Szkolnej w Płocku (obe-

nie Jagiellonki). Poskutkowało. Został w drodze wyjątku dopuszczony do wstępnego egzaminu.

Ten już poszedł gładko jak po maśle. Został przyjęty do klasy drugiej. Muś zginął w Zygmysiu, który w gimnazjum dopiero znalazł szersze pole do popisu. Z klasy do klasy przechodził jako pierwszy uczeń z nagrodami.

Z nich trwale zapisały się dwie: J. Chrząszczewskiej i J. Warnkówny "Z biegiem Wisły". Obrazki i opowiadania o kraju, ilustrowane – nagroda do IV kl. i "Poezja i proza" A. Mickiewicza w wyd. P. Chmielowskiego, niestety ocenzone, nagroda do kl. VII.

Pierwsza była swoistego rodzaju kompendium z dzieł Kolberga, Glogera, Nałkowskiego i klechd Wójcickiego, którego kręgosłup stanowiła Wisła z jej dopływami, dzięki bratu wzbogaciła mnie krajobrazowo, ożywiła folklorystycznie i przez baśń przemówiła do mojej ludowej wyobraźni.

Dzięki drugiej, również za sprawą brata, przemówiła do mnie poezja. Po prozie Sienkiewicza poezja Mickiewicza przez "Świtez" z innymi balladami, przez "Dziady" cz. II i fragmenty III aż po "Pana Tadeusza". Ten za jego sprawą stał się dla mnie "centrum polszczyzny, w którym się Polak napije, nadarzy Ojczyzny".

Mój starszy brat był przede wszystkim humanistą i zwłaszcza celował w pracach pisemnych z jęz. polskiego. Jedną z nich o Krasińskim ściągnąłem z niego i ja mierny polonista wreszcie znalazłem uznanie u profesorki.

Uczęszczał do tego samego gimnazjum co Broniewski. Chociaż różnili się klasami i w nauce postępowali, przez szkołę łączył ich ten sam romantyzm i ten sam patriotyzm szlachecko-niepodległościowy. Broniewski jednak z tego romantyzmu wyrósł na chwałę naszej rewolucyjnej poezji, a mój brat z szablą w dłoni zginął za tę, co nie zginęła.

Nim jednak do tego doszło, wyrósł i zmęźniał. Może nie był tak piękny, jak zgrabny. W ruchach swobodny, naturalny. W słowie i geście ujmujący. Dzięki tym walorom podbił całą naszą rozgałęzioną rodzinę jako Zygmunt I.

Panowanie zdobyć rzecz wcale niełatwa, lecz utrzymać się na poziomie rzecz o wiele trudniejsza, jeśli chodzi o prymusa w klasie i w szkole. Pozycja wyróżniająca i wywyższająca nie zawsze dodatnio wpływa na rozwój wrodzonych zdolności i nabytych umiejętności. Za bardzo je eks-

ploatuje, a za mało rozwija. Nie wychodzi poza kredowy zasięg szkoły.

W tej kategorii panowanie Zygmunta Pierwszego zakończyło się chlubnym świadectwem dojrzałości i miał się zacząć Zygmunt Drugi, jeszcze nieukierunkowany w studiach wyższych, kiedy pierwsza wojna światowa pokrzyżowała plany, gdzie ma podjąć studia, czy w Krakowie, czy dalej za granicą.

Przez rok był korepetytorem w dziedzickim, sławęckim majątku, a następnie przeszedł do dworku wujostwa. Ciotecznych braci i mnie przygotowywał do gimnazjum. Nie trwało to długo, gdyż w Warszawie został powołany do życia, tym razem już polski, Uniwersytet i ogłoszono zapisy.

Brat poszedł na medycynę nie z powołania swego, lecz matki (tej imponował miejscowy lekarz), mimo że miał awersję do widoku krwi i nieboszczyków. Czegoż jednak nie robi się dla matki, dla której był oczkiem w głowie.

Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Pół roku wystarczyło, że się z ćwiczeniami w prosektorium oswoił i otrząsał. Co więcej, nawet odkrył w sobie powołanie do tego zawodu, społecznie wielce użytecznego i niezależnego.

Do truposzów z odtrutką papierosa, którego matka wreszcie zaakceptowała, przywykł i na dowód tego po zaliczeniu pierwszego roku przywiózł trupa czaszkę. Obłożył się lekarskimi książkami, egzaminy zdawał w przepisowym terminie i w ten sposób doszedł do półdoktoratu.

Były to lata brzemiennie w poszukiwaniu czasu niepodległego różnych orientacji, z legionami na czele. Z perspektywy lat patrzę na te czasy krytycznie. I brat mój też przypuszczam, że się gubił zdezorientowany, bo sytuacja była nader skomplikowana i wieloznaczna. Między młotem i kowadłem.

Na szczęście przyszedł koniec wojny światowej. Listopad niebezpiecznej pory przyniósł nam niepodległość. Radość z odzyskanego śmietnika i oczekiwanie na przedwiośnie, po którym wiosna nie przyszła i, jak lata międzywojenne wykazały, przyjść nie mogła. Zgubiły ją przeżytki mocarstwowe poaggiellońskie, sobiepańskie tradycje sarmackie.

Rok 1919. Niepodległość, ale jeszcze w zagrożeniu. Trzeba o jej przetrzeń obszarową walczyć. W związku z tym wszyscy studenci, zdolni do służby wojskowej, ruszyli na ochotnika. Brat się nie wahał. O swej decyzji powiadomił rodziców nieodwołalnie.

Jako student medyk został przydzielony do czołówki sanitarnej nr 21. Zaczął od szeregowca, awansował na kaprala aż do podchorążego i w przededniu awansu na podporucznika pod koniec kwietnia w wyprawie na Kijów został zastępcą komendanta szpitala 205.

Nawet nie cały miesiąc, nieobliczalny w skutkach, utrwaliła jedynie korespondencja pieczołowicie przez dom i brata zachowana w listach, w których niemałą rolę odegrał bogumiłowy ojciec. Znacznie większą niż matka z wiecznymi zmartwieniami, nim jeszcze dni i noce doszły do głosu, po których powstały "Noce i dni".

Widocznie stary zasiedziały dom mojego ojca więcej bratu odpowiadał niż czas poganiany podróżno-koczowniczy, kilometrami nawijany na koła, od postoju do postoju z wciąż powracającym motywem: Jedźmy, nikt nie woła.

Front naglił pośpiechem, ręczo posuwał się naprzód, a szpital na tyłach włókł się jak żółw za zającem. Zagubiony w bezkresnym stepie chwycił jedynie odpryski zdarzeń wyrwanych z litanii szczegółów nie bez szczypoty humoru... jak przy kawie po obiedzie, o którą się sprzeczamy, czy to kawa czy to herbata. Spór zwykle rozstrzyga ordynans w te mniej więcej słowa: "Powiedzieli mi w kuchni, że to dzisiaj kawa, innym zaś razem, że to herbata." Lecz mniejsza o to, kawa czy herbata, dość na tym, że przyzwyczailiśmy się do tego wątpliwego napoju i smakuje nam jako tako...

Po nim przyszedł inny postój między 1 i 3 Maja, imieninowy i powyjazdowy, kiedy komendant szpitala udał się na urlop, a mój brat w zastępstwie objął jego stanowisko. List pisany czerwonym atramentem, jakby zwiastujący podróż nie kończącą się: "Jutro znów wyjeżdżamy dalej i wydaje się, że jeszcze nieprędko się zatrzymamy". PS. Na pięć dni przed zdobyciem Kijowa.

Potem w korespondencji luka do dnia 21 maja, do postoju w Owsianikach podczas przerwy w działaniach ofensywnych. Na pięć dni przed radziecką kontrofensywą. Perypetia ku pokrzepieniu serc, na ironię: "Czas leci szybko i ani się spostrzeżecie, jak pewnego pięknego poranku zawita do Was Zygmunt we własnej osobie." Spod Cecory za Zygmunta III.

Na całej linii frontalny odwrót. Zegar ofensywy zaczął biec w tył prędzej niż poprzednio biegł naprzód. Szpital nieoczekiwanie znalazł się w zagrożonej sytuacji. Nie mógł w zarekwirowanych furmankach za wojskiem nadążyć i dlatego włókł się w tyle.

W beładnej rejteradzie osamotniony ze szpitalem na postojowych wozach pod wsią Oczertynie w lipowieckim powiecie padł zarąbany, kiedy stanął z szablą w sióstr obronie. Wersję tę pono komendant szpitala zataił, gdyż w sytuacji krytycznej szpital opuścił.

W związku z tym pod koniec czerwca nadeszła depesza do rodziców, że syn ich zginął bez wieści. A w miesiąc potem ordynans przywiózł rzeczy brata i kartę służbową, że dostał się do niewoli.

Dla rodziców był to cios najcięższy, jaki w swym upracowanym życiu przeżyli. Matka na pół przytomna odchodziła prawie od zmysłów. Rozchorowała się i długo z łóżka nie mogła się podnieść. Jednak z górami po miesiącu boleść w sobie przemogła. Nie poddała się rozpacz. Przecież miała jeszcze dwóch synów, których chciała dalej kształcić.

Co innego ojciec. Boleść niby stłumił w sobie i w ten sposób spotęgował. Żył na pół życiem syna i na pół własnym. Jeździł do Czerwonego Krzyża, do różnych jednostek wojskowych, do jeńców powracających z niewoli i kiedy przekonał się, że szuka wiatru w polu, postanowił ruszyć na poszukiwanie mogiły syna. Serce jednak nie pozwoliło.

W imię ojca i syna ładna mi zapowiedź: syn zginął bez wieści i mogiła jego zginęła bez wieści.

BRAT MŁODSZY

Po bracie starszym oczekiwanej nadziei brat młodszy nadziei niespodzianej. Matka bliska rozwiązania z nim chodziła, kiedy w sile wieku umarł jej ojciec, który najstarszą córkę kochał najbardziej i najczęściej odwiedzał. Dla matki był to cios okrutny. Ledwie trzymała się na nogach, przy tym dziecku spóźnionym i nieoczekiwanym.

Istniała obawa, że to się źle odbije na dziecku, a tymczasem najmłodszy wbrew przewidywaniom przyszedł na świat zdrowy jak rydz, żywy jak iskra. Imię otrzymał Józef po dziadku i był z synów najradośniejszy, jakby z woli dziadka miał niepocieszoną córkę pocieszać.

A tak dobrze się złożyło, że jego pierwsze lata przypadły na okres, kiedy dzieckiem oprócz matki opiekowała się Stasia, dawna pokojówka i kucharka dworska. Tuś garnął się i do jednej, i do drugiej. Był tak

wypluskany, czyściutki, tak schludny w stroju i tak dobrze wykarmiony, jakby był dzieckiem dwóch matek jednocześnie.

Zył w korbach tego podwójnego macierzyństwa przez pierwsze dwa lata, a potem zaczął się usamodzielniać. Należał do dzieci ruchliwych i nieustanny ruch wszczynął wokół siebie. Nikt przy nim spokoju nie zaznał.

Przedmioty traciły niewzruszoność i wciąż zmieniały miejsce przeznaczenia. W związku z tym w życiu uporządkowanym powstał rozgardiasz rzeczy nie na swoim miejscu. Zagubionych i poszukiwanych.

Nad czołem we włosach miał wicherek i ojciec nazwał go Zawieruchą. Tego przydomku pomny wyprawiał istne brewerie. Często nie bez irytacji matki: “Bój się Boga, co za wiele, to za wiele. Opamiętaj się, ty Sowizdrzale”.

I kiedy myślą obecnie wracam do tamtych czasów, nie umiem się oprzeć pewnemu wrażeniu natury ogólnej. Był małym i małym na całe życie pozostał. Ciekawskim i dlatego nie urósł, jak ojciec z humorem pod wąsem mówił.

Głowę jasną, wbrew ciemnej starszego, jakby z pól wyniósł. W promieniach długich wijących się włosów był małym ruchliwym słońkiem. Rozjaśniał pokoje i przepelniał błękitem oczu. Niefrasobliwy, beztroski. Nie lubił płakać i nie znosił płaczu innych. Zwłaszcza mazgai.

Ja do niego nie pasowałem. Co innego brat ode mnie starszy. Jeden przepadał za drugim. Może dlatego, że wzajem się uzupełniali. Łączyła ich i zbliżała do siebie wzajemna miłość i nadzieja rodziców.

Bystry, spostrzegawczy, w miarę uzdolniony, w nauce gorliwością nie grzeszył. Głowy książkami zbytnio sobie nie zaprzętał, fałd nie przysiadął. Lekcje odrabiał na odtrąbionego. Po łebkach, na niby, byle prędzej.

To lekceważenie zwłaszcza odbiło się na jego piśmie niedbałym i niezgrabnym. Matka mówiła, że bazerze jak kura łapą. A ojciec dodawał sentencjonalnie: — Chyba ministrem będzie.

To pismo źle się odbiło na ortografii. Z tego powodu nieco stracił na kontenansie, bo siódmą, przedmaturalną klasę musiał powtarzać, mimo że wśród kolegów i nauczycieli cieszył się względami i osobliwą popularnością, dzięki której w opresji zwykle jak piskorz z rąk się wymykał.

Wiele zawdzięczał nauczycielce języka niemieckiego. Nie darmo mówił: — Bogdanówna, słusznie się tak nazywa, bo ją dla takich jak ja

Bóg dał. Ta tak się umiała do mego brata zabrać, że znajomość języka niemieckiego wyniósł ze szkoły nadspodziewanie dobrą. O tym się naocznie sam dowiedziałem podczas okupacji w sposób nie budzący wątpliwości.

Nim do tego doszło, tak się dziwnie złożyło, że kiedy szedłem do gimnazjum, on zaczynał naukę w szkole powszechnej, a kiedy studia podjąłem na uniwersytecie, dopiero zaczynał lata gimnazjalne.

Z tych lat najlepiej pamiętam ferie, szczególnie w tych fragmentach, które dotyczyły Wkry, rzeki w krajobrazie wszechwładnie panującej nad doliną nadwkrzańską i nad ziemią zawkrzańską.

Latem pamiętam Jutka, co wyrósł z Tusia i Jutusia, z rzecznych kąpielii, ze skoków brawurowych na wysokości progu słuzy i z pływackich zawodów. Czuł się w wodzie jak ryba. Pluskał się, pływał kraulem, nurkował, jakby woda była jego naturalnym żywiołem.

Jeszcze bardziej zadziwił zimą na lodzie. Nikt się z nim nie mógł mierzyć w jeździe figurowej na łyżwach, nikt go nie uczył, a sztukę tę wraz z tańcem na lodzie opanował w całej perfekcji.

Kiedy holendrował, przy różnych piruetach zawsze widownię miał na podniesionym brzegu. Szczególnie dziewcząt, które roziskrzonymi oczyma biegly za nim. Do dziś jeszcze o tej Jutka jeździe na łyżwach mówią rówieśnice jego z zachwytem w starych już oczach.

Ferie z Józkiem z lat uniwersyteckich, z czasów studiów na WSH po rocznej podchorążówce, tak podobnie plastycznych wspomnień nie wywołują. Już miał swoje upodobania do moich po wielokroć niepodobne.

Poza domem rodzinnym tworzyłem swój własny dom wyobcowany, bezdietny i nasze spotkania należały raczej do świątecznych. W co drugie wielkie święta tworzyliśmy z matką trójkę frontu, który się jeszcze trzymał i nie poddawał. Wierny niezłomnym dębowym tradycjom. Jedne w drugich zacierają się.

W miarę czasu tracą na ciągłości. Wracają, rwą się, oddalają i znów wracają. Może po rozejściu się z żoną były częstsze ze względu na renowacje, jakie przeprowadzałem w domu, brata rzadsze po usamodzielnieniu się i po uzyskaniu posady na kresach w Wołkowysku.

Z perspektywy lat patrzę na nie przez pryzmat czasu i szukam dla nich skupiającej soczewki. Jest jedna przełomowa, która nad pozostałymi, mniej znacznymi góruje. Sylwester z pożegnaniem starego roku

i powitaniem Nowego Roku. Jak się później okazało, katastroficznego.

Na ich pograniczu zawirował wujostwa salon brudnicki i dotąd wiruje oderwany w mojej pamięci osobami, które śmierć skosiła w urodzie młodości. Wiruje jako taniec śmierci wciąż żywych postaci.

W tym tańcu nieustannie objawia się i ginie mój młodszy brat. Jakby jeszcze przez taniec mógł się wyzwać, w całej wielkiej rodzinie na ogół mało tanecznej, przez wodzireja dawnych czasów odwołany.

Zwłaszcza kujawiaczek z mazowieckim kolorytem. Niby stateczny, spokojny, a zarazem wzbierający wigorem, żeby w drugiej połowie wybuchnąć werwą, animuszem, fantazją. Nogi podcięły smyczki i wyskoczył z nich oberek. Szersze koło zatoczył i jakby ściany rozsunał pod walc rozkręcający się i skręcający, i nie mogący się wyzwolić, wydostać z własnego zaczarowanego koła. Jakby jeden nie mógł się skończyć i drugi zacząć.

Tworzą krąg zamknięty i brat mój do tego kręgu należy. Do pierwszego pokolenia odzyskanej młodości. Nie darmo jego chłopięce lata i wiosenne młodości obejmują czas euforii. Niepodległością wyzwolonej urody.

Tej urodzie życia hołdował mój brat młodszy, co nad wszystkie mądrości stawiał wyżej życiową. Rzutkością, szybkim refleksem, trzeźwością w poglądach górował między innymi także nade mną. Z tej przewagi zdawał sobie sprawę i w życiu własnym, niepodobnym do mojego, chciał mnie poprawić na obraz i podobieństwo własne.

Zwłaszcza kiedy się na dobre ustabilizował we Włodzimierzu Wołyńskim, jako inspektor ubezpieczeń. Tam na jednym z inspekcyjnych wyjazdów w teren poznał Krysię leśniczkę, znacznie młodszą od siebie, i stanął na ślubnym kobiercu, bo wierny swojej młodości chciał dłużej żyć młodością powołaną do dłuższego współzycia.

Pojawili się po raz pierwszy w naszym domu na powitanie lata i do wyjątkowej pogody ferii wnieśli niefrasobliwą radość. Ożywili ściany starożytnego domu. Ogród poweselał. Dni były słoneczne i nikt nie chciał wierzyć w gromy z jasnego nieba. Żegnaliśmy ich miłość z wiarą i nadzieją.

Tymczasem wrzesień plany pokrzyżował. Do niezawodnego punktu oparcia po tułaczkiej pielgrzymce wrócili na stałe do domu, co już nie był naszym domem. Do przesiedlonego wrócili w sam dzień Bożego Narodzenia.

Żyliśmy z pracy rąk i z mojego tajnego nauczania. Po roku przyszedł na świat Jędrus, podobny do ojca swego, tylko już nie tak żywiłowy.

Miał jakby tłumik w sobie, żeby w radości nie być za bardzo hałaśliwym, gdyż czasy pogardy na to nie pozwalały.

W ówczesnej bardzo niepewnej sytuacji należało własną egzystencję bardziej umiejscowić, żeby nie zostać wysiedlonym w góry, i do tego należało bardziej zatroskać się o utrzymanie rodziny.

Toteż brat mój dobrze znający język niemiecki z konieczności życiowej przyjął stanowisko w biurze niemieckim. Jak tylko mógł jako tłumacz pomagał rodakom, lecz to w jego i niejego przekonaniu było za mało. Tym bardziej, że obcowanie codziennie z brutalnością i z pogardą wroga podsycalo w nim żądę tłumionego odwetu.

Na tej nienawiści do wroga źle wyszedł. Podstępnie zastawiona pułapka zamknęła się za nim. Wstąpił do ruchu oporu i dał się usidlić przez prowokatora. Przez dawnego sierżanta wojska polskiego z Bydgoszczy.

Bez pseudonimu pod adresem podziemnym złożył własnoręczny podpis i to go zgubiło. Sierżant sfingował, że niby zdradzony przez konspiratora szpicla wpadł w ręce żandarmów. W ten sposób zdemaskowana lista z podpisami zgłoszeń znalazła się w Gestapo.

Było to wkrótce po Wielkiej Nocy 42 roku. Rankiem 5 maja żandarmi z folksdojczami wtargnęli do naszego domu w sposób brutalny w asyście germańskiego ryku. Wyrwany ze snu, półprzytomny, widzę tylko w oczach gorejące płomienie i już więcej niż od czterdziestu lat nie umiem nic więcej powiedzieć: Matka. Żona. Syn. Pamiętaj o nim. Zwińnięta pięść. Trzymam ją w dłoni. Na pożegnanie.

Z ręką wyciągniętą spod brezentu przepadł uwięziony bez wieści. I tylko jeden jedyny list z tamtych czasów do nas dotarł. W nim, podobnie jak najstarszy brat, na ironię rychły swój powrót zapowiadał w słowach:

— Nawet się nie spodziejecie, kiedy do was się zjawię ochoczy i zdrowy.

Ten nieoczekiwanie optymistyczny akcent, na tle późniejszych wiarogodnych relacji, nie wiadomo, z jakich pobudek mógł wynikać, gdyż stacje męki bezspornie temu przeczyły. Może wierzył wbrew wierze.

Miał już za sobą pierwszy etap. Obóz w Działdowie, gdzie esesman kulas stopy aresztantów ostrzem kija przygważdżał do ziemi, gdzie psy esesmańskie wyrwanym mięsem z ciała karmiono, gdzie w blokach siepacze na każdym piętrze strawę z rąk zgłodniałych pejciami strącali.

Po nim drugi etap w Płocku. W zbiorowych celach więziennych przy

większej swobodzie panowały bardziej ludzkie stosunki. Nie było katowania zbiorowego, za to były przechodzące ludzkie pojęcie katusze postępowania śledczego w torturach zaprogramowanego.

Mój brat, wydawało się, taki beztroski i taki niedotykałski wydobyl z głębi własnych nieznównany hart ducha, diament niezłomnej woli. Jakby wbrew samemu sobie.

Bity po twarzy, bity pałkami, gdzie popadło, kiedy padał na ziemię, kopany podkutymi buciorami, kulił się półprzytomny i ratował jedynie głowę, bo zdawało mu się, że ciosem w głowę chcą go uśmiercić.

Tracił przytomność i w chlustach wody odzyskiwał. Nowe serie ciosów. Bezskuteczne. Oprawcy mają już tego dosyć. W bęzsilnej wściekłości wyrrywają ze stołu jesionowy blat i tym blatem tłuką po jasnej z wicherkiem głowie, która kiedyś była naszym słoneczkiem.

Trzeba było trzech dni, żeby skatowanego przez Gestapo przeprowadzić do więzienia. Miał tak wielką guzami nabrzmiałą głowę i twarz opuchłą taki sińcami skutą, że był raczej podobny do zdeformowanej kukły.

Ledwie słaniającego się na nogach koledzy pociągnęli do wyrka. Na zmianę zimnymi okładami głowę, twarz i zmaltretowane ciało opatrywali i dzięki tej pomocy zaczął odzyskiwać siły i bardziej ludzki wygląd.

Drżał na całym cieie, kiedy miał iść na drugie przesłuchanie. Nie załamał się. Oczy zakrył dłońmi i ruszył na trzecie. Nie wiem, jakim cudem wytrzymał. Niestety, nie wszyscy byli tak niezłomni. I to przesądziło o losie brata. Nim wyrok zapadł, przez szereg ostatnich dni rozsypywali sznury, z których potem spleciono pętle na użytek szubienicy.

Wreszcie etap trzeci drogi przez mękę bez martwych wstania. Egzekucja w Rościszewie, odległym od nas o 10 km. Szubienicę ustawiono między dworem a figurą Matki Boskiej. Skazańców umieszczono w zamknięciu na drugim końcu wsi kościelnej. Niedaleko cmentarza, co nie dla nich był grobem.

Osiemnasty września nie był to dzień zimny, a jednak mróz już siedł po kościach, kiedy brat zażądał, żeby zamknąć okienko. Nikt w naszym domu nie wiedział o egzekucji, chociaż bieżuniacy podwiezieni autami jako świadkowie znaleźli się na placu kaźni. Niektórzy na ochotnika.

O godzinie oznaczonej wyszli jeden za drugim szeregiem i przez długą wieś jako żołnierze podziemia w milczeniu kroczyli długim krokiem wojskowym. Żona nauczyciela, jednego ze skazańców, biegła przy nim

i błagała: — Przemów, choćby słowo, jeśli nie do mnie, to przynajmniej do syna. Nawet nie spojrział w jej stronę. Bezsilna nienawiść związała ich usta pieczęcią milczenia. Głosu nie mogli z siebie wydobyć. Nic podobnego. Nie chcieli. Tak ich uzbroiła nienawiść.

Kiedy z rękami spiętymi z tyłu stanęli pod szubienicą, usługnymi ramionami zostali podsadzeni na stoły. Stół mojego brata był rozdwojony i w nogach się chwiało, kiedy bratu nogi drutem wiązano.

Sołtys z nazwiskiem brata przez przymus i strach zarzucił na szyję drugiemu Gołębiowskiemu pętlę w tak niefortunny sposób, że biedak musiał ją własną głową poprawić, a wysunięty do przodu bieżuniak, który swym wzrostem rzucał się w oczy, spod nóg dwie ostatnie deski ratunku wyrwał.

Niektórzy natychmiast konali. Mój brat męczył się najdłużej. Wisieli, nie wiem, godzinę, dwie czy trzy. Potem ich odcięto i na pół obnażonych 14 ciał, w tym jedną kobietę, zawleczono w pole do zbiorowej mogiły. Rzuceni do dołu, zostali przysypani równo z ziemią, żeby znaku nie było po zamordowanych żadnego.

Po kilku dniach ruszyły pługi i brony. Rzucono siew ziarna i wróg już myślał, że ślad po powieszonych zginął raz na zawsze. Ziemia tajemnicę zbrodni rzeczywiście ukryła, ale tylko tak jak ziarno ozime.

Październik i listopad dłonie liści rozrzucił i wiatrem zamiótł. Zimą śnieżny baranek boży pogrzebanych przykrył. Potem ziemia odwilgła i wiosna tajemnicę zdradziła. Wyrosło zboże wyższe, ciemniejsze i bardziej kłosiste. Pod dożynkowy nagrobek kłosów.

Po roku ziemia jakby odwagi nabrała. Obsunęła się nieco w stronę dołu i pomiędzy polem a grobem czarne szpary ust rozwarła. Ludzie oznakowali je kamieniami, żeby mogiła mogła przemówić grobem poległych.

W pierwszych latach po wojnie w szczerym polu przy mogile zbiorowej stanął kamienny pomnik w kształcie piramidy, a na miejscu suchego drewna szubienicy dąb stanął niezłomny.